



Mirosław Derecki

PRO DOMO SUA. DŁUGI STÓŁ NA GRANICZNEJ

Kiedy w redakcji mówimy między sobą, że coś działo się w starej „Kamenie”, to wiadomo naturalnie, iż nie chodzi o najdawniejszy, chełmski okres, tylko o lata, w których redakcja mieściła się w lokalu Związku Literatów przy ulicy Granicznej w Lublinie. Są to lata pięćdziesiąte i sześćdziesiąte.

W starej „Kamenie” panował nastrój niemal familijny, domowy. W dwóch obszernych pokojach zajmowanych pospołu z literatami na parterze willi księdza Zaleskiego stały przemieszane z urzędniczymi biurkami „a la lata pięćdziesiąte” - mocno sfatygowane biedermajery: kanapki i fotele z powycieranymi obiciami, przepastna szafa biblioteczna z masą nieuporządkowanych książek polskich, rosyjskich, niemieckich, angielskich, francuskich. Niektóre meble miały dodatkowa wartość: historyczną. Pochodziły jakoby z pałacu w Ciechankach, gdzie w okresie Polski Lubelskiej literaci mieli swój dom procy twórczej. Pod ścianami stały kozetki, na których nocowali przyjeżdżający do Lublina literaci (nocleg 30 zł), a nierzadko miejscowi młodzi adepti pióra, którym się którym się akurat „meta” spaliła lub zastali wylani z akademika; tym opłatę prolongowano ad infinitum. W ten sposób niejedną noc spędził w starej „Kamenie” późniejszy autor „Jednego dnia” i „Siekierzady” Edward Stachura, a nie inaczej bywało i z niżej podpisanym.

Z pierwszego pokoju zwanego szumnie sekretariatem wychodziło się do pełnego kwiatów ogrodu. Stała w nim drewniana altanka z wygodnym stołem, przy którym odbyła się niejedna narada redakcyjna i gdzie pękła niejedna butelka.

Ale głównie integrował nas długi, ciemny stół stojący w drugim, większym pokoju. Odbywały się przy nim rozmowy, narady i kolegia redakcyjne, a poza tym... służył on jako stół biesiadny. W starej „Kamenie” nie gardzono życiem towarzyskim, a to się często wiązało z dobrym jadłem i napitkiem - oczywiście po godzinach pracy - wspomaganymi jeszcze pięknym słowem i celnym dowcipem.

Kto opíše kiedyś owe imieniny, przyjęcia z okazji otrzymanych nagród, przedświąteczne „rybki”, w czasie, których kielich krążył wartko, ale też Konrad Bielski na zmianę z Zygmuntem Mikulskim recytowali strofy poetów i wieszczów?! Kto odtworzy tamte intelektualne tyrady wygłaszane przez Bielskiego, często kraszone rubasznymi,

dosadnymi wstawkami, to znów nasycające się głębokim, filozoficznym dowcipem! Z kuchni dochodziło szczękanie talerzy i sztućców, w sekretariacie pani Olga Gajewska parzyła kawę dając zarazem baczenie na całe „przyjęcie”. Wpadało się na chwilę do gospodarzy, państwa Cymków na pogawędkę, albo do ogrodu, aby w chłodnym świetle księżycy orzeźwić głowę. Wychodziliśmy z redakcji późnym wieczorem, odprowadzając po kolei do domów najstarszych i najdostojniejszych członków redakcji i jeszcze długo spacerowaliśmy po ulicach, po parku, nie mogąc się nagadać, nadyskutować do syta.

Może dlatego tak dokładnie pamiętam starą „Kamenę”, że właśnie w jej najbardziej bujnym okresie zacząłem pracować w redakcji. Wprawdzie z „Kameną” współpracowałem stale od końca 1957 r., ale dopiero na początku 1963 r. nastąpił zasadniczy zwrot w życiu pisma, otworzyły się nowe możliwości, również etatowe. Wiązało się to z tzw. „unią” czterech ówczesnych województw: białostockiego, kieleckiego lubelskiego i rzeszowskiego: „Kamena” miała penetrować społeczno - kulturalny obszar owego makroregionu.

Będąc oficjalnie organem Lubelskiego Oddziału ZLP utrzymywaliśmy się z dotacji wydziałów kultury poszczególnych województw, przy czym główny ciężar finansowy spoczywał na barkach lubelskiego Wydziału Kultury PWRN. Chociaż nigdy nie było mowy o cofnięciu dotacji, to pod koniec każdego roku budżetowego szef administracji „Kameny” Wacław Gralewski, dawał nam „na wszelki wypadek” trzymiesięczne wymówienie, aby następnie, od 1 stycznia, „ponownie” nas zatrudnić - oczywiście z zachowaniem ciągłości pracy. Pensje były niskie, większość - ryczałty i półtaty. W redakcji liczyło się każdą złotówkę i dobrze pamiętam, że gdy w 1966 r. zostaliśmy nareszcie „upaństwowieni” stając się pismem RSW „Prasa”, jeszcze przez długi czas jeżdżąc w teren nie korzystałem z przysługującej mi na kolei pierwszej klasy, ani z wagonu sypialnego. Po prostu... zapomniałem o takich możliwościach.

Odwiedzając „Kamenę” jeszcze, jako współpracownik, na przełomie lat pięćdziesiątych i sześćdziesiątych, najczęściej zastawałem w redakcji tylko redaktora naczelnego, Marię Behczyk-Rudnicką, wykonującą zresztą gros prac redakcyjnych oraz Annę Jakubiszyn-Tatarkiewicz, parającą się wtedy głównie recenzją teatralną. Już wówczas zaczęła się ugruntowywać jej pozycja doskonałej tłumaczki literatury francuskiej: współpracowała z PIW-em i dokąd (po przeniesieniu się do Warszawy a początku lat sześćdziesiątych), nadal jest związana z tym wydawnictwem. Redakcja techniczna składała się ze Stefana Zarębeckiego, tłumacza Goethego i Heinego, oraz – jak twierdzono – pogromcy niewieścich serc. W najmniej przewidywanym momencie, a najrzadziej o umówionej porze pojawiał się Jerzy Ludwiński redagujący kamenową wkładkę plastyczną „Struktury”. Pani Olga Gajewska tkwiła od zawsze, niezmiennie i niewzruszenie w sekretariacie. Kiedy Olga przeszła przed kilkoma laty na wcześniejszą emeryturę, zabrakło mi jakiejś ciągłości jakiegoś stałego punktu

oparcia w „Kamienie”. A może po prostu owej przyjacielskiej więzi jaka się między nami w ciągu długich lat wspólnej pracy zadzierzgnęła?

Kazimierz Andrzej Jaworski bywał w „Kamienie” stosunkowo rzadko. Częściej widywałem go w domu na Bronowickiej zanosząc jakieś listy przychodzące na jego nazwisko do redakcji, albo odbierając prowadzone systematycznie przez pisarza przez wiele lat „Noty”. Dwa-zaciszne, położone w amfiladzie pokoje KAJ-a, zawałone były pud sufity książkami. W pierwszym stało staroświeckie biurko, jeszcze jego ojca; przy tym biurku KAJ napisał chyba większość swoich wierszy. Chodził lekko przygarbiony; zapamiętałem wyraźnie srebrzystosiwą czuprynę z równym przedziałkiem, ciemny garnitur oraz nieodłączną cygarniczkę. Przede wszystkim zaś zapamiętałem życzliwość, z jaką KAJ odnosił się do młodych adeptów literatury. Nie wiem, czy łatwo się było z KAJ-em zaprzyjaźnić; w każdym razie nie trudno było zyskać jego sympatię. W „Kamienie” pojawiały się wtedy raczej drobne formy podpisywane: „k.a.j”, „Caius” lub „X Rovay” (odwrotność nazwisku Jaworski). Po objęciu redakcji przez syna, Marka Adama Jaworskiego w 1965 r. KAJ ożywił swoje stosunki z pismem. Grały w tym zapewne niepośredni udział uczucia rodzinne.

Warto wspomnieć o pewnej mało znanej namiętności założyciela „Kamieny”: otóż KAJ uwielbiał książki kryminalne. Chyba już od wczesnej młodości, bo w jego bibliotece tkwiło sporo wydawanych jeszcze przed I wojną światową „kryminałów” w języku rosyjskim. Bardzo lubił Georges Simenona i kiedy w lubelskim MPiK-u pojawiło się dwudziestoparotomowe francuskie wydanie przygód komisarza Maigret, założyliśmy z KAJ-em i Marią Bechzyc-Rudnicką coś w rodzaju „spółki”: każdy z udziałowców kupił po siedem czy osiem tomów z serii, a potem wymienialiśmy je między sobą. Gdy dzisiaj spoglądam na półkę mojej biblioteki i tytuły: „Les vacances de Maigret”, „Maigret se defend”, „Un échec de Maigret” czy „Maigret et le fantôme”, wyłaniają mi się z pamięci niespieszne rozmowy z KAJ-em o prostocie prozy Simenona, o jej walorach literackich i umiejętności kreślenia kilkoma pociągnięciami pióra nastroju i klimatu paryskich ulic lub prowincjonalnych miasteczek.

Jak się rzekło: integrowaliśmy się najlepiej przy długim stole redakcyjnym. „Biesiady” przy nim odbywane miały przecież, na co dzień charakter intelektualny, roboczy. Tutaj rodziła się koncepcja numeru i tu oglądaliśmy makiety jego przyszłych kolumn. Szczególnie jednak lubiłem comiesięczne „plena” redakcyjne, na których pojawiali się przedstawiciele redakcji działający w województwach „ościennych”.

Po początkowym, dość krótkim okresie „docierania się” pisma, jako „organu” społeczno-kulturalnego czterech wschodnich województw, kiedy to przez „Kamień” przewinęli się Jerzy Dostatni (po paru latach wrócił na stałe do redakcji, jako jej sekretarz) Józef Lis i Adolf Lekki oraz Zdzisław Jastrzębski, skład zespołu przedstawiał się następująco:

redaktorem naczelnym była Maria Bechzyc-Rudnicka, sekretarzem redakcji Zygmunt Mikulski, kierownikiem działu poezji Konrad Bielski. Waldemar Babinicz był reprezentantem „Kameny” w Kielcach, Jerzy Pleśnierowicz w Rzeszowie, a Aleksander Gabrusiewicz w Białymstoku. Za stronę graficzną pisma odpowiedzialny był Edward Nadulski, za korektę Alicja Królikowska, a administracją kierował Wacław Gralewski. Ja otrzymałem na razie, z braku innych, wakujący etat redaktora technicznego z obietnicą przejścia na publicystyczny. Wymagano więc ode mnie pisanie reportaży i uprawiania publicystyki kulturalnej. Do moich obowiązków należało też sekretarzowanie na kolegiach, a następnie sporządzanie wyczerpujących protokołów w kilku egzemplarzach... „Pan Mirek jest najmłodszy pan będzie protokołował” - oznajmiała zawsze pani Maria. Niestety! Od szkoły podstawowej przez gimnazjum. Służbę Polsce i studia ciągle prześladował mnie status „najmłodszego”, który wobec tego... A tutaj w dodatku, pozostali koledzy redakcyjni przewyższali mnie grubo (oprócz starszego o rok Olka Gabrusewicza) i wiekiem i pozycją zawodową i twórczymi dokonaniem. (W nieco późniejszych latach Jurek Dostatni często i tęsknie wspominał czasy, kiedy to młodzi dziennikarze zwyczajowo skakali po papierosy dla dojrzałych kolegów! (Notabene owe wspominki sływały po nas, licznych już wówczas młodych pracownikach redakcji - jak woda po gęsi).

W 1963 r. byłem „jeden przeciw wszystkim” - Gabrusewicz wracał do Białegostoku i ślad po nim zazwyczaj ginął na długie tygodnie - i musiałem czekać całe trzy lata zanim przyszedł „młodszy”, Irek Kamiński, a jeszcze później - Maciek Podgórski. Tempora mutantur... teraz ja jestem najstarszym (redakcyjnym stażem) pracownikiem „Kameny”. Powyższe przysłowie natomiast o tyle nie sprawdza się wobec Maćka Podgórskiego, że jest on wciąż „najmłodszy”...

Wracajmy jednak do stołu. U jego szczytu zasiadał Prezes. Bielski był wtedy prezesem Oddziału ZLP i to centralne miejsce przy stole należało mu się niejako z urzędu, jako gospodarzowi lokalu i „wydawcy” pisma. Wtłoczywszy swą masywną postać w fotel, za którym nikt się już nie mógł przeciskać, miał tutaj spokój oraz odpowiednie pole widzenia. W czasie obrad dobiegała z jego strony cała gama mruknięć, posapywań i wielorybich westchnień, którymi „Kondzio” wyrażał swój stosunek do zdania poszczególnych dyskutantów. Czasami wdarł się w tok dyskusji tubalny głos: Bielski w dosadny, krwisty sposób wykladał swą opinię. Doskonały niegdyś adwokat-karnik, który m. in. w czasach powojennych zabłysnął w procesie Orszy - opisanym następnie przez siebie w książce „Tajemnica kawiarni U aktorów” - Prezes więcej się teraz poświęcał literaturze. Poeta, współzałożyciel lubelskiego „Lucifera” i „Reflektora”, jeden z głównych przedstawicieli przed- i powojennego lubelskiego środowiska artystycznego, erudyta o kolosalnej pamięci, intelektualista, a przy tym smakosz i bibosz - teraz pisał wspomnienia. „Most nad czasem”

przywoływał obraz Lublina z lat dwudziestolecia międzywojennego, „Spotkania z Kazimierzem” były rodzajem sentymentalnego reportażu z miasteczka, które kochał od młodości. Sentyment mieszał się z humorem: poetę wyprzedzał na chwilę facecjonista, aby z kolei ustąpić realności.

Latem widywało się „Kondzia” sunącego razem z żoną Utą przez kazimierski rynek. Mieszkiwał stale i niezmiennie w willi „Floryda”, do czasu życia jej właścicielki, słynącej - nawiasem mówiąc - z doskonałej kuchni. Tylko Lew Kaltenberg potrafił czasem oddać klimat wspaniałych gawęd kazimierskich „Kondzia” snutych w kawiarni w Rynku, lub w restauracji Michalskiego. Tej szczególnie gawędy, która wyjaśniała, dlaczego król Kazimierz Wielki nie mógł mieć dzieci z Esterką... Trzeba było przy tym widzieć, jak „Bielski” ucztował w czasie tych maratonów słowno-gastronomicznych, jak stukał szpikową kością w talerz, żeby dobrać się do ulubionego specjału, jak podnosił do ust „setkę” czystej wyborowej! Miał w sobie wiele z legendarnego Franza Fiszera, ale był to Fiszler o wiele bardziej łagodny, przychylny światu i życzliwy ludziom. Ciężko chory na serce, sięgający często po nitroglicerynę, do końca życia zachował swój iście rabelaisowski humor i dowcip.

Pamiętam jedno z kolegów redakcyjnych, kiedy Jerzy Pleśniarowicz. Przyjechawszy z Rzeszowa „z pustymi rękami”, to znaczy nie mogąc się wykazać interesującymi materiałami dla redakcji, roztacza przed zebranymi z właściwą mu elokwencją uroki prozy rzeszowskiego pisarza Romana Turka, „którego fragment książki udało mu się zdobyć”... A „Kondzio”, przejrząwszy grę, słucha z uwagą, kiwa głową, a potem mruga do nas w swój charakterystyczny sposób, przechyla się konspiracyjnie przez stół i nabrzmiewającym chichotem tubalnym szeptem rzuca znane powiedzonko: „Turek Turka w d... szturka!”

Skonfundowany Pleśniarowicz przerwał na chwilę, zapomniawszy języka w gębie (rzadko mu się to zdarzało, podobno nawet Francuzów w Paryżu, gdzie bawił na wielomiesięcznym reżyserskim stypendium teatralnym, zagadywał na śmierć) a my dusiliśmy się ze śmiechu. Dostojną powagę zachował tylko Waldemar Babinicz, autor licznych książek o tematyce społeczno-obyczajowej, dyrektor znanego Uniwersytetu Ludowego w dawnej ziemiańskiej posiadłości Różnicy na Kielecczyźnie. Nazywaliśmy go z tego powodu - poza oczami - ordynatem różnickim. Gdyby to słyszał, pewnie by się obraził za „porównywanie” z głośnym bohaterem książki Heleny Mniszek. Przez Babinicza „Kamena” miała kontakty z całą plejadą publicystów warszawskich, m. in. Jerzym Gembickim, który pisywał u nas stały felieton, no a przede wszystkim ze środowiskiem twórczym młodzieży kieleckiej, której Babinicz chętnie patronował.

Zebranie zagajała zawsze Maria Behczyk-Rudnicka, jako redaktor naczelny i zwykle też w jej tok wypowiedzi wpadał z zapalczywą swadą Wacław Gralewski. Stanowili z panią Marią jakby dwa bieguny magnesu, jakie odmienne w każdym prawie względzie, a zarazem

związane ze sobą na zawsze przyrodzoną im siłą przyciągania się. Pani Maria - poświęcam jej w tym wspomnieniu mniej miejsca, bo pisałem już o niej oddzielny artykuł a poza tym wciąż kontynuuje ona swoją działalność pisarską na łamach obecnej „Kameny” - otóż pani Maria jest raczej racjonalistką obdarzoną wielkim poczuciem - bardzo swoistego zresztą - humoru, natomiast „Wacio” Gralewski reprezentował humor zupełnie inny, „demoniczny”. Jak zresztą i cała jego natura podatna była na wszelkiego rodzaju „demoniczności” i „sensacyjności”. Może się już taki urodził, a może dwudziestoletnia prawie pracą naczelnego redaktora międzywojennego „Ekspresu Lubelskiego i Wołyńskiego”, kiedy byt gazety zależał od jej sensacyjność wyrobiła w nim ciągłą potrzebę widzenia rzeczy w ich niezwykłym, powiększonym, tajemniczym wymiarze? Jak Bielski, przyjaciel z lat młodości, tak również Gralewski był wspaniałym gawędziarzem, znał się doskonale na kuchni i na winach. Było w nim jednak mnóstwo przeciwieństw: znany przed wojną lubelski sportsmen, tenisista, zgłębiał zarazem tajemnice spirytyzmu i okultyzmu. Oddając się owym tajemnym naukom był zarazem człowiekiem pełnym inicjatyw. To on przyczynił się do założenia „Reflektora”, do powstania w Lublinie Związku Literatów Polskich, on - o czym dowiedziałem się ostatnio - składał w latach trzydziestych ofertę na prowadzenie lubelskiego teatru.

Wszystkie książki „Wacia” miały mocne, zdecydowane tytuły, w których „dźwięczała czynów stal”: „Pięść Herostratesa”, „Ogniste koła”, „Gorejące ślady”, „Stalowa tęcza” (wspomnienia o Józefie Czechowiczu, z którym Gralewski i Bielski przyjaźnili się), wreszcie - „Bieg po krawędzi”. Do tej ostatniej książki zawierającej zbeletryzowane i we właściwy Gralewskiemu sposób „przetworzone” wspomnienia z lat okupacji sięgam najczęściej i najchętniej. Jawi się w nich okupacyjny Lublin jako jakiś niesamowity, nierealny, surrealistyczny twór, miejsce zagubione w przepastnych odmętach wojny, ciemne, puste i tajemnicze, w którym żarzy się jednak ogień walki o wolność i honor. Choćby nieraz owa walka, owe zachowania się opisywanych ludzi, przybierały nie wiem jak naiwne czy absurdalne formy... Bohaterowie książki, przemykają często przed godziną policyjną wąskimi, ciemnymi ulicami Śródmieścia, które pokrył biały całun świeżego śniegu, skażony jedynie samotnym śladem zabłąkanych dorożkarskich sanek... Przy jednej z takich ulic, na drugim piętrze kamienicy „na Kościuszki” Gralewski zajmował od lat garsonierę. Jeden pokój z wejściem prosto z klatki schodowej, zawałony pod sufit książkami, o ścianach niemalowanych od świętej pamięci, z piramidami papierów i tacek na stole i podłodze... „Trochę tu u mnie nieporządku... Cóż, nora intelektualisty...” mawiał „Wacio” do nielicznych gości. Na zaproszenie do Gralewskiego trzeba było sobie specjalnie zasłużyć. Zaproszenie wiązało się z ugoszczeniem jakąś wymyślną potrawą przyrządzoną przez gospodarza, mistrza sztuki kulinarnej. Potrawy były wyszukane a już same nazwy stanowiły rozkosz dla ucha. Na przykład: „bażant nadziewany ptakiem konwencjonalnym”. Czyli kaczką.

Na ulicy Gralewski prezentował się niepozornie. Niski, krępy, ubrany bez troski o elegancję, a z myślą o wygodzie: luźne spodnie, za duże o dwa numery półbuty, na głowie nieodłączna, popelinowa „dżokejka”. Ale spod daszka patrzyły przenikliwe, „stalowe” oczy. Oczy hipnotyzera. Oczy człowieka, który się ani przeciwnościom życiowym, ani kulom nie kłania. Bo wszak ten nieco zabawny, dziwny osobnik był w czasie okupacji szefem Biura Informacji i Propagandy Komendy Okręgu AK w Lublinie, a potem szedł z II Armią, jako wyróżniający się odwagą szef zwiadu pułku, brał udział w walce o Kołobrzeg, był kawalerem Krzyża Walecznych i srebrnego medalu Zasłużonym na Polu Chwały. Całą okupację spał z rewolwerem pod poduszką. „W razie próby aresztowania - sześć kul dla Niemców, a jeśli bym nie wyrąbał sobie drogi ku wolności - siódma kula dla mnie” - zwierzył się kiedyś. I wierzę, że bez chwili wahania pociągnąłby za spust.

Atrakcją numer jeden redakcyjnych „plenów” była drożdżowa babka z cukierni Grygowej, a czasami nawet administracja stawiała butelkę słodkiego greckiego wina rodzynkowego „Samos”. To - w chwilach wyjątkowo dobrego humoru Gralewskiego. Bywało jednak, że „Wacio” dostawał nagle węża w kieszeni. Robił się piekielnie oszczędny, wyliczał każda złotówkę, roztaczał apokaliptyczne wizje upadku „Kameny” z powodu rozrzutności i marnotrawienia pieniędzy. Tak właśnie było w przypadku historii z „czerstwą babką”.

Oto pewnego razu zdarzyło się, że przedstawiciele wojewódzcy nie mogli przybyć do Lublina i w ostatniej chwili odwołali telefonicznie swoje przyjazdy. Tak, więc zamiast „plenarnego” miało się odbyć zwyczajne kolegium redakcyjne. Ponieważ kupiono już rano sakramentalną „babkę”, wjechała ona w odpowiednim momencie na stół. Aliści, zanim nóż trzymany przez Marię Bechczyc-Rudnicką zanurzył się w jej pulchnym wnętrzu, rozległ się dramatyczny krzyk Gralewskiego; „Nie pozwalam! Pieniądze zasiały wydane z przeznaczeniem na inną okazję!” „Ależ, parne Waclawie” - argumentowała łagodnie pani Maria - „Toż „babka” już kupiona. I co z nią robić? Tylko zjeść ją można...” „Nie można! - Wołał Gralewski - Jest przeznaczona na inną okazję”. „No, co z tą „babką” - denerwował się Bielski. - Będzie się ją krajać, będzie się ją jeść...?!”

I tutaj trzeba było widzieć Gralewskiego w akcji „stawiania na swoim”... Oświadczył, że w swych domowych zbiorach posiada zachowany przy pomocy specjalnej metody bochenek chleba z...1939 r., „który zatrzymał dotąd absolutną, jakby wczorajszą, świeżość.” Wspomniana metoda polega na umiejętnym owinięciu pieczywa w kilka warstw różnego rodzaju papieru oraz „czymś miękkim, ciepłym, a przewiewnym”, na przykład swetrem z prawdziwej, stuprocentowej wełny. Czymże jest miesiąc dzielący nas od następnego „plenu”, wobec okresu „od przed wojny”? Cóż było robić... Odbyło się uroczyste zawijanie w rytm zirytowanego posapywania „Kondzia” i... przystąpiliśmy do obrad.

Następnego dnia „babka” została oczywiście zjedzona w czasie makietowania numeru przez członków redakcji technicznej, redaktora naczelnego oraz sekretarkę. Ale samego tylko grzechu i występku było nam za mało. Postanowiliśmy jeszcze odegrać się na szefie administracji... W dniu następnego „plenum” kupiliśmy za 20 złotych możliwie najbardziej świeżą „babkę” i zawinęliśmy ją tak, jak to uczynił Gralewski. Leżała w szafie na półce, jakby nieruszona od miesiąca... W pewnym momencie zebrania pani Maria uderzyła się dłonią w czoło i - jak zostało ustalone - zauważyła „odkrywczo”: „Ale. Ale! Przecież my tutaj mamy „babkę”, o której zupełnie zapomnieliśmy. A którą sam pan Wacław tak pieczołowicie zakonserwował przed miesiącem! Chociaż pewnie ona już sucha, całkiem sucha. Zobaczymy.” Oczywiście, „świeżość” ciasta przeszła oczekiwania nawet samego Gralewskiego. Przeszła też nasze oczekiwania reakcja „Wacia”, gdy została mu wyjawiona prawda. Nie stracił twarzy. Uparcie twierdził, że - choć żart jest istotnie dobry - on podtrzymuje swoją teorię. I że jeżeli byśmy teraz zawinęli tę oto „babkę”, to za miesiąc...

Takie oto bywały w starej „Kamienie” rozmowy przy „długim stole redakcyjnym”. Oczywiście te nieoficjalne, nierobocze. O poważnych, roboczych dyskusjach trzeba by było napisać osobny artykuł. Zresztą, można przejrzeć dawne numery „Kamieni”, które są tych rozmów i narad - widowym odbiciem. A jednak, nie można w pełni ocenić ówczesnych numerów bez znajomości atmosfery i swoistego kolorytu redakcji w starej „Kamienie”..

W 1965 r. redakcję objął Marek Adam Jaworski i wtedy zaczęło się tworzyć już zupełnie inne, zupełnie nowe pismo. Ale to już także zupełnie inna historia...

W starej „Kamienie” zawód dziennikarski poznawało się i doskonaliło trochę jak w starym, solidnym i z tradycjami cechowymi warsztacie rzemieślniczym, korzystając z ciągłej, uważnej i życzliwej opieki pryncypała. Który może na komputerach i informatyce się nie znał, ale informacje o życiu i świecie czerpał z wieloletnich uważnych obserwacji i przemyśleń, z humanistycznego podejścia do świata i do ludzi. Zazdroszczące, więc często młodszym kolegom po piórze ich możliwości zdobywania wiedzy i doświadczeń zawodowych w redakcjach przypominających nowoczesne fabryki pracujące systemem taśmowym, wyposażonych w nowoczesne urządzenia (działających w oparciu o naukowe podstawy wiedzy o dziennikarstwie - nią żałując lat terminu u starych mistrzów.

Pierwodruk: „Kamena”, 1978, nr 21, s. 6-7.